Schody Hiszpańskie. Opowiadanie sensybilistyczne.



Schody Hiszpańskie, Rzym, fot, pinterest

Kazimierz Głaz *(Toronto)*

Moja dramatyczna przygoda była dawno temu, kiedy nie było zakazu siedzenia na Schodach Hiszpańskich w Rzymie. Tłumy ludzi. To tam miało miejsce tajemnicze i trudne spotkanie z moim nieznanym synem. Dwudziestoparoletni chłopak podszedł do mnie i usiadł obok.

– *May I talk to you?* – zapytał po angielsku.

– *Yes, but what about?* – odpowiedziałem.

– *You are probably my father* (jesteś prawdopodobnie moim ojcem) – powiedział łamiącym się głosem.

Podejrzewałem w tym typowe rzymskie naciąganie, o których się wiele słyszało. Miałem w pamięci historię znajomego lekarza z Toronto, który będąc w Rzymie miał dziwną przygodę. Na głównej ulicy podszedł do niego starszy, dobrze ubrany człowiek, ukląkł przed nim na oba kolana i zaczął potrząsać jego rękami recytując głośno coś po włosku, czego ani mój znajomy, ani jego żona, nie rozumieli. Zszokowani stali zdziwieni czekając na zakończenie. Modlący się uścisnął mu raz jeszcze ręce, jakby na pożegnanie, wsiadł na podjeżdżający skuter i odjechał. Wyglądało to jak modlitwa, ale okazało się po chwili, że złoty zegarek lekarza, warty wówczas pewnie ze 2o tysięcy dolarów zniknął z jego ręki. Takie i temu podobne opowieści krążyły wśród turystów.

Toteż spokojnie, ale stanowczo, kazałem mojemu młodemu

rozmówcy odejść. Pamiętam dobrze jak wyglądał. Był wysoki, dobrze zbudowanu, ale jakby nieco nieśmiały. Ociągał się. Zszedł na dół do jakiejś kobiety. Kiedy wstała popatrzyli oboje na mnie. Zabierali jakieś torby z zakupami z Via Fratina, znanej ulicy mody. Oddalony jakieś 30 stopni i oddzielony tłumem ludzi nie rozpoznałem jej. Po dobrej chwili, kiedy zaczęli schodzić zacząłem sobie przypominać moją ostatnią dziewczynę we Wrocławiu. Zbiegłem na dół. Szukalem. Zniknęli w tłumie turystów.

Była studentką medycyny. Na moje obawy mówiła, że ona zna się na tym dobrze, ale któregoś dnia powiedziała, że jest w ciąży. Zakazałem przerywania . Prosiłem, Mieliśmy ustalić nasze stanowisko później. Jednak ja wyjechałem niespodziewanie do Paryża i kiedy wróciłem po roku, ona wyjechała z Polski. Nie mieliśmy wspólnych znajomych i tak urwał się kontakt, bardzo osobisty.

Po latach władze rzymskie zakazały siedzenia na schodach, żeby zabezpieczyć marmury. Dlatego te schody są od tamtego czasu tak mocno związane z moją pamięcią.

Toronto, listopad 2019 r.

Spotkanie z Kazimierzem Wierzyńskim



Kazimierz Wierzyński, 1928 r.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Kazimierza Wierzyńskiego (1894-1969) pamiętam jako bożyszcze eleganckiej publiczności witanej owacyjnie w londyńskim Ognisku, kiedy przyjeżdżał ze Stanów Zjednoczonych. Wzruszył mnie jego kufer „blachą okuty”, w którym były:

> Cała moja ojczyzna,
>
> Paszporty, obywatelstwa,
>
> Emigracyjne wizy.

i któremu pozostał wierny. Po dziś dzień robi też na mnie wrazenie jego liryczne zaproszenie:

> Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny
>
> Wstap tu, gdzie czekam po kryjomu:

> W ugornej pustce jałowizny
>
> Będziemy razem nie mieć domu.

A przecież kiedy żył, twórczość jego znałem zaledwie powierzchownie, będąc w wieku, kiedy zbyt wiele nowości, bez porządku i wartościowania, przyjmowana jest przez jaźń. Byl to „wiek górny, wiek durny”, krępowany kapliczkowymi lojalnościami.

Wierzyński znany był z serdeczności, jaką otaczał młodych poetów. Będę go pamiętał za to, że był „najpierw człowiekiem, potem artystą”, jak głosi motto jego poetyckiego debiutu. Na krótko przed swoją śmiercią sprawił mi wielką przyjemność i honor. Otóż po przeniesieniu się na uniwersytet w Nottinham, w Londynie bywałem rzadziej. Przyjechawszy raz wśród zimy mocno przeziębiony odwiedzilem, jak to było moim zwyczajem, drukarnię Oficyny Poetów i Malarzy mieszczącą się pod przęsłem mostu kolejowego na Tamizie, nieopodal dworca. Nie spodziewałem się, że czeka na mnie niespodzianka. Czesław i Krystyna Bednarczykowie, właściciele Oficyny zaprosili mnie na kolację do restauracji mieszczącej się pod salą koncertową Festival Hall. Tam ku mojemu zdumieniu i wielkiej radości zjawili się Halina i Kazimierz Wierzyńscy. Poeta oświadczył, że miał

wprawdzie inne plany na wieczór, ale przecież nie chciał stracić okazji by mnie wreszcie poznać osobiście. Od czasu do czasu wymienialiśmy między sobą listy. Tłumaczył, że w jego wieku nie mogl sobie pozwolić na zaprzepaszczenie takiej szansy.

Ta szlachetna wielkoduszność w stosunku do młodszych kolegów po piórze, jakże odbiegała od przysłowiowej zawiści pisarzy. Zmiarkowawszy ponadto szybko, że ledwo mogłem mówić, tak się moją chorobą przejął, że nakazał pozostać w Londynie i udać się do jego lekarza gwarantującego murowany efekt kuracji. Po dziś dzień odczuwam wzruszenie na myśl o szczodrej trosce mistrza Kazimierza, któremu niedługo potem, nawet zaufany lekarz nie mógł pomóc.

„Duch Atlantydy” Jarosława Abramowa-

Newerlego jako odtrutka na stereotypy

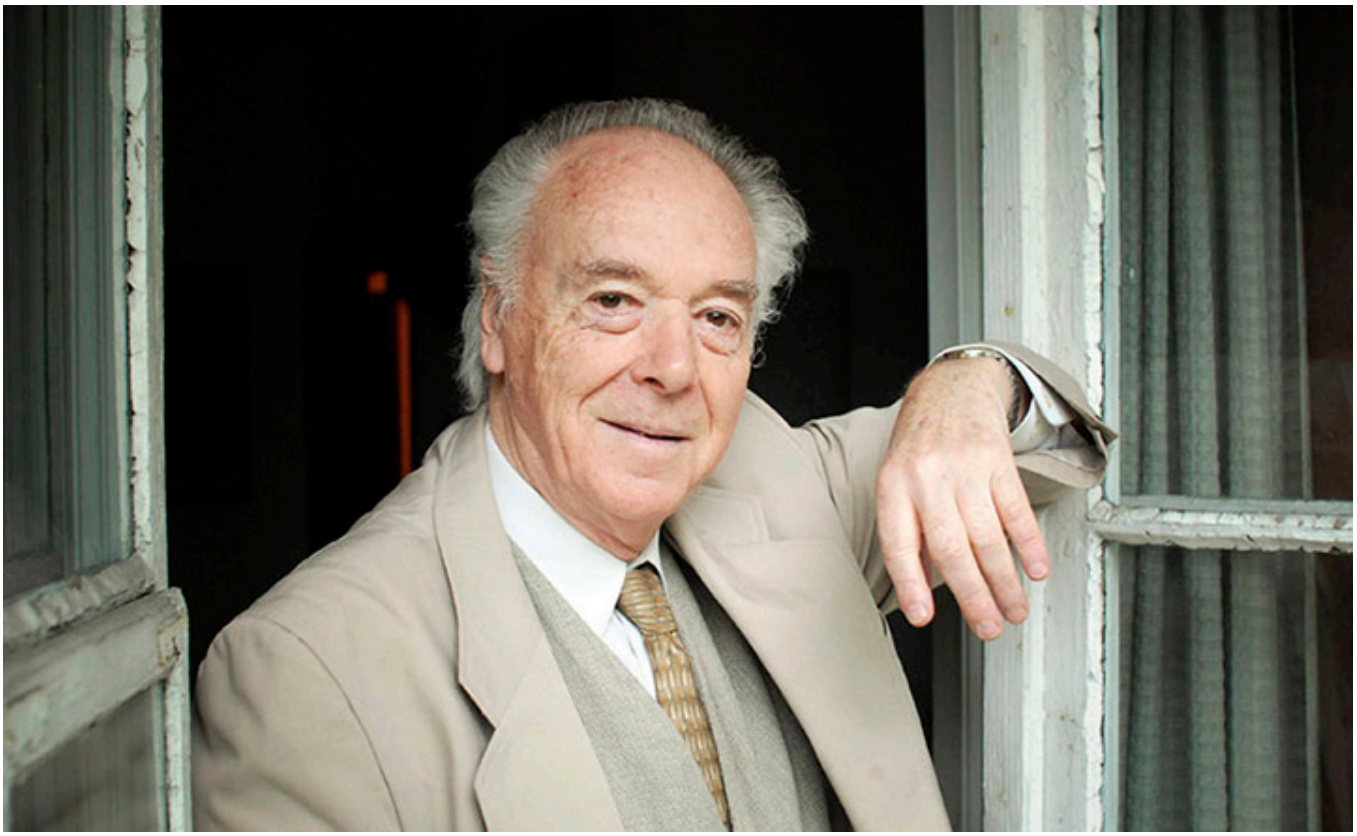

Jaroslaw Abramow Newerly w swoim mieszkaniu, 16.05.2007 r., Warszawa, fot. Wlodzimierz Wasyluk

Ewa Bagłaj *(Polska)*

O polskich akcentach w teatrze kanadyjskim pisał w 1987 r. Adam Tomaszewski (Adam Tomaszewski, *Ze sceny i estrady,* Toronto 1987). Długo jednak nie powstał dramat w języku polskim, dający obraz Kraju Klonowego Liścia z perspektywy naszej emigracji. Dopiero *Duch Atlantydy* (1994) Jarosława Abramowa-Newerlego zapełnił tę lukę.

„Dlaczego tak późno? Odpowiedź najprostsza z możliwych: zabrakło talentów i gdyby przypadek sprowadził Gombrowicza nie do Argentyny, do Buenos Aires, ale do Toronto, Montrealu czy Ottawy wynik może byłby podobny. „Gdybanie" takie ma jednak tę wadę, że właśnie pomija specyfikę miejsca i okoliczności, w jakich przyszło tu żyć Polakom, pisarzom polskim, których na gruncie kanadyjskim spotkała przygoda trudno porównywalna z losem innych emigrantów. Nie jest sprawą tylko talentu, choć z pewnością jest to czynnik niebagatelny, ale przede wszystkim biografii, że szansa jaką dla twórczości stanowił kraj wielokulturowy, kraj dialogu, ojczyzna „dożywotnich emigrantów", wedle dowcipnego określenia Marka Kusiby, otworzyła się tak późno. Ale jednak się otworzyła". (Jerzy Święch, *Pomyślane przelotem…,* s. 36).

Co ciekawe, wątek kanadyjski pojawił się w twórczości Jarosława Abramowa-Newerlego na długo wcześniej, nim pisarz zaczął myśleć o emigracji. Dwadzieścia lat przed swoim wyjazdem w sztuce pt. *Derby w pałacu* wyrzuconemu ze swej posiadłości

hrabiemu Dembopolskiemu kazał osiedlić się w stolicy prowincji Ontario.

> Pamiętam, jak błądziłem palcem po mapie Kanady, w której nigdy nie byłem, wahając się między paroma miastami. Najpierw chciałem dać Winnipeg, ale w końcu zwyciężyło Toronto dzięki dźwięczniejszej nazwie (…) później (…) właśnie w tym Toronto wylądowałem. I tak jak mój hrabia w *Derbach w pałacu* poznałem los emigranta. (Jarosław Abramow-Newerly, *„Granica sokoła…”,* s. 13).

Los ten poznał nie tylko z autopsji. Bowiem materiał dla sztuki odnalazł on, podobnie jak w omawianych wcześniej książkach *Kładka przez Atlantyk* i *Pan Zdzich w Kanadzie,* pośród „samych swoich”. Akcja rozgrywa się w polskiej dzielnicy Toronto, na ulicy Roncesvalles, którą mieszkańcy nazywają żartobliwie Rączymi Wałami lub Rączą Wólką.

> Na każdego z moich bohaterów składa się co najmniej kilkanaście prototypów-autentyków, których kiedyś spotkałem. Oczywiście wszystkich odpowiednio przemieszałem, z każdego coś biorąc, z siebie również. Musiałem spędzić w Kanadzie osiem lat, wiele samemu zrozumieć, zobaczyć i poznać, aby ten inny świat opisać. (…)

> Podobnie jak w moich kanadyjskich opowieściach o panu Zdzichu, starałem się zachować wierność faktom. Wprowadziłem wiele autentycznych nazw i nazwisk (...). (Tamże).

Bohaterowie to ludzie różnych narodowości. Większość reprezentuje Polonię, ale jest też Włoch, Indianin, Chińczyk, Żyd i Ukrainiec.

> Chcąc przedstawić barwną mozaikę, jaką jest to miasto, kazałem niektórym postaciom mówić w ich ojczystym języku, licząc, że taka »chińszczyzna« wytrzyma próbę sceny. Teatr to nie tylko słowo, ale również gest, dźwięk, rekwizyt, obraz – wszystko to, co tworzy magię sceny. (Tamże).

O tym, jak wielką wagę przywiązuje autor do scenografii świadczą zaskakujące rekwizyty w poprzednich jego sztukach – konie w pałacu, kukły na dworcu, namiot w łaźni, szpital w ogrodzie czy ogromna szafa zamiast drzwi.

> Taka sceneria potrzebna mi była nie dla absurdu zawieszonego w uniwersalnej próżni, ale dla stężenia rzeczywistości. Niecodziennym podkreślałem codzienność.

> (Tamże).

Odpowiednikiem szafy, z której w *Klik-klaku* wyłaniają się kolejni mężowie Kornelii jest w *Duchu Atlantydy* dawna „buczernia” (sklep mięsny, ang. *butcher* – rzeźnik), a potem magazyn, który bohaterowie przerabiają na Wielokulturowe Centrum Sztuki „Remstar”. Przygotowania do hucznego otwarcia są okazją do spotkań przedstawicieli starej i nowej emigracji zaangażowanych w przedsięwzięcie, którego celem jest „promieniować na inne mniejszości, z których składa się Kanada”. (Tamże, s. 14).

Kontakty między nimi stają się „smutną komedią omyłek, wzajemnym licytowaniem się w cierpieniach i jakże marnych radościach, klęskach i sukcesach” (Jerzy Święch, op. cit, s. 35), co ma odzwierciedlać stosunki panujące w społeczności Rączych Wałów. Abramow-Newerly nieustannie, choć jak gdyby mimochodem porównuje te dwie emigracje: wcześniejszą prawdziwą, bo „z ducha” z tą ostatnią, która jest nią tylko z nazwy. Młodych łączy wspólna cecha – sprowadziła ich do Kraju Klonowego Liścia wizja Eldorado, chęć zrobienia błyskotliwej kariery na tej ziemi obiecanej. Od nowa powtarzają lekcję, którą starsze pokolenie ma już za sobą. Jak każda kolejna fala emigracji muszą zdobyć doświadczenie na własnej skórze. Pytanie tylko, o co ci nowi, liczący przede wszystkim na życiowy fart, wzbogacą dorobek swych poprzedników? Bowiem w ocenie

tych ostatnich wyglądają raczej blado:

„Te nowe po SOLIDARITY na łatwy chleb idą. Nie chce im się tyrać jak nam (…) Chytre są" (Jarosław Abramow-Newerly, *Duch Atlantydy..,* s. 1) – to głos Józefa Rydla. (Skojarzenie z dramatem Wyspiańskiego nie jest przypadkowe. *Duch Atlantydy,* wzorem innych sztuk Abramowa-Newerlego, odsyła do klasyki dawnej *(Dziady, Wesele)* oraz nowszej *(Miazga, Transatlantyk, Ślub).*

Należy on do trzeciego pokolenia osadników; jego pradziad karczował kanadyjską puszczę. Weteran bitwy pod Monte Cassino, ciężką pracą doszedł do obecnego majątku – jest właścicielem sieci sklepów wędliniarskich „Baca Delicatesssen". Zna cenę, jaką trzeba zapłacić za powodzenie w życiu i ma prawo czuć się pełnoprawnym obywatelem wielokulturowej, zasobnej Kanady, która takim jak on zawdzięcza swoje dzisiejsze oblicze. Do Rydla należy lokal, w którym ma powstać galeria sztuki nowoczesnej. Wynajmuje go polonijnym artystom nieodpłatnie, kierowany żywym sentymentem do kraju przodków. „Remstar Center" ma pomóc uganiającym się za pracą i zyskiem rodakom odzyskać równowagę między przyziemnymi interesami a duchowością:

> (…) musimy to zrobić dla siebie, żeby do reszty nie zbaranieć. (…) Pytasz, kto przyjdzie. My. My przyjdziemy. Do

> siebie. Wrócimy do normy, oderwiemy się od posadki-posadzki (…) za młotek i przerabiamy tę kiełbasiarnię. To nasza ostatnia szansa. (Tamże, s. 11).

W ten sposób główny inicjator przedsięwzięcia, artysta plastyk Rem, przypomina Kubie, „lingwiście-komparatyście", jakie ideały przywiodły ich wszystkich do Kanady. To pragnienie odnalezienia własnego raju pchnęło ich za ocean. Dla doktora lingwistyki porównawczej jest nim „własna wieża Babel. Wszystkie języki świata", które studiuje… w chwilach wolnych od pracy przy czyszczeniu szpitalnych podłóg. W Polsce nic nie stało na przeszkodzie rozwojowi jego kariery naukowej, zarabiał dodatkowo jako autor tekstów popularnych piosenek. Nie wyjechał więc z konieczności czy istotnej potrzeby, jak czynili to wcześniej uchodźcy polityczni. Raczej „ucieka od siebie, chce spalić mosty nie z krajem, lecz z ludźmi, z którymi nie potrafił żyć dalej". (Jerzy Święch, op. cit, s. 35).

Teorie, którymi uzasadnia swoją emigrację, pokazują go jako ofiarę własnych złudzeń. Kiedy otwiera się przed Julią, młodą aktorką o wysokich aspiracjach zawodowych, mówi o swej wierze w „Remstar" i Remigiusza. Chce, by to centrum odegrało w Kanadzie podobną rolę jak „Kultura" Giedroycia w Europie Zachodniej.

> Daję mu szansę. Nawet w tym sklepie. Jeśli nie wielokulturowość i przenikanie, to co? (…) Rzeź? Kolejna jatka? Kocioł bałkański już wrze. (*Duch Atlantydy*, s. 35).

Dziewczyna jednak domyśla się prawdy, z której on sam może nie do końca zdaje sobie sprawę:

> Albo zwiałeś od siebie, albo od żony i udajesz błędnego rycerza. Nowego Don Kichota. Wymachujesz „Kulturą" i wpierasz we mnie, że ty to oni. Rżniesz dziedzica. Oni mieli swój cel, a ty słowniczek, wieżę Babel. NO, MY DEAR. AMERICAN DREAM cię zżera. Ja chcę być gwiazdą, ty nią byłeś, ale liczysz na więcej, a Remstar buduje kosmodrom i właśnie ma zamiar odpalić. Taka jest prawda. Nieco upierdliwa, ale uczciwa. Innej nie ma. (Tamże, s. 40).

Julia wie o tym, bo sama – mając w Polsce angaż w najlepszym teatrze – zaryzykowała próbę wybicia się za oceanem. Tymczasem kariera gwiazdy filmowej, o jakiej marzy, oddala się coraz bardziej. Póki co, utalentowana artystka zarabia w reklamówkach, wbita w kostium gąski z wielkim brzuchem-atrapą. Skromna klitka, którą wynajmuje przy dawnej „buczerni" też ma się nijak do amerykańskich standardów.

Dlatego Julia nie chodzi na przedstawienia do Jane Mailet Theatre – teatru w centrum Toronto, wynajmowanego na gościnne występy bardziej reprezentacyjnych zespołów przyjeżdżających z Polski.

> Rozleciałabym się. A i przed kolegami wstyd. Julia. *(gest fruwania)* Nie z Szekspira. APARTMENT też niezbyt. Jak na Kanadę. (Tamże, s. 47).

Swój „amerykański sen" od dawna próbuje realizować Remigiusz, a zakładana galeria ma pomóc mu wreszcie zabłysnąć. Przecież po to tu przyjechał.

> Muszę być naj, naj. Wspiąć się na sam szczyt. (Tamże, s. 20).

W nieustannych sprzeczkach z żoną, której w nowej ojczyźnie powodzi się znakomicie, odkąd uzyskała doktorat i otworzyła prywatny gabinet stomatologiczny, wypływa ten sam problem. Ona zarzuca mu, że nie umie przestawić się na rodzaj twórczości, który tu się podoba. Dlatego zamiast błyszczeć, od dziesięciu lat jest na dnie. On wzbrania się przed pójściem na komercję, zarzuca Tamarze zaślepienie dolarami:

> Ona tylko tym mierzy wielkość. *(gest liczenia pieniędzy)* Byle się sprzedawało. A ja nie chcę! Nie zrobisz ze mnie straganiarza! (Tamże, s. 21).

Tamara interpretuje jego rozgoryczenie po swojemu. Odcina się:

> A widzisz, jak to miło. Być dodatkiem. Teraz ty jesteś mężem dentystki. Role się odwróciły na tym kontynencie. (Tamże, s. 18).

Skarży się Kubie:

> On mógł mieć w pracowni modelki, a ja nie mogę mieć w OFISIE nawet kolegi od leczenia przewodowego, bo już krzyk! Taki ścisły nadzór był dobry w PRL, ale nie tu! Tu wolny kraj, kochany! Kobiety są INDEPENDENT. (Tamże).

W rozmowach większość z kilkunastu (aż) postaci dramatu obnaża pustkę, z którą sobie nie radzi. Obiecująca z polskiej perspektywy Kanada, po drugiej stronie Atlantyku okazała się trudnym wyzwaniem. Testem na wytrzymałość w nowych warunkach życia:

> Kanada to sprawdzian. Nikogo nie obchodzi, kim byłeś. Tu jesteś nikim. (…) Musisz zmartwychwstać. Urodzić się po czasie. (Tamże, s. 10).

Szukając swego miejsca w Kraju Klonowego Liścia, bohaterowie przymierzają się wciąż do nowych ról. Powiada Kuba:

> Wszyscy jesteśmy kameleony. Nie wiemy, w jaką skórę wejść. (Tamże, s. 51).

A reprezentacyjna, zawsze modnie ubrana i uczesana Tamara, stwierdza:

> Tu bez formy ani rusz. CHEESE *(szczerzy zęby w uśmiechu)* To ułatwia życie. (Tamże, s. 25).

Ten obowiązkowy *good looking,* którego esencją jest wieczny uśmiech jak gdyby przyklejony do ust, choć wymaga nieustannej czujności, bardzo ułatwia życie. „Nikt duszy nie wybebesza”. (Tamże, s. 51).

Tymczasem każdy z bohaterów nosi w sobie jakąś tajemnicę. Za

fasadą samozadowolenia kryją się w ich duszach upiory przeszłości. Przechowane w pamięci, przewieźli je wbrew własnej woli na drugi brzeg oceanu. Bo nie da się uciec od samego siebie. Przekonują się o tym w noc Halloween, kiedy to – paradoksalnie – zostaną zmuszeni do zrzucenia masek. Wyzwolone z ich wnętrza upiory zmienią te niby Zaduszki w torontońskie *Dziady* i *Wesele* zarazem. Lady Simpson, główna fundatorka Centrum Kultury, zaproszona na happening z okazji jego otwarcia, nieoczekiwanie odkrywa przed Kubą twarz jego dawnej kochanki z Polski, Róży. Okazuje się, że nie udało mu się spalić za sobą mostów. Dawna „dziewczyna z majowym bzem", jak określił ją w słowach piosenki, również wyjechała za granicę. By zapomnieć o aborcji, do której niegdyś ją nakłonił. O tym, że Kuba mieszka w Toronto, dowiedziała się przypadkiem.

> Uświadomiłeś mi, że nie da się… *(gest odcięcia)* Coś zostaje. Nawet jak się wyrwie z siebie wszystko. Dosłownie i w przenośni. (…) Zrozumiałam, że coś zostało. Nie pomogły oceany i kontynenty. (Tamże, s. 110).

Wszystko bowiem się na tym świecie łączy. Dokładnie tak, jak w przygotowanym na otwarcie *show*, gdzie w odrealnionym chocholim korowodzie podążają: Ksiądz, Młoda Para, mężczyzna z wózkiem dziecięcym i Sekretarz z Szoferem niosący na barkach trumnę. Marsz weselny miesza się z pogrzebowym, a

bohaterowie spektaklu skandują w różnych językach: „Zaślubiny! Narodziny! Śmierć!”

Tytuł dramatu autor świadomie skojarzył z duchem Jałty, do czego przyznaje się w *Słowie od autora:*

> Zauważyłem, że wciąż się snuje dopadając nas w różnych miejscach. Mnie nawiedzał i w Toronto i w San Diego. Tutaj, na tym kontynencie zrozumiałem, że nigdy się od niego nie uwolnię.

Rozumie to również Kuba, któremu ukazał się najpierw duch Stalina, a potem Stalina z Churchilem. Obaj palili fajki i z uśmiechem „trzymali się przyjaźnie za ręce”.

> Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Toronto, a duch straszy. I Atlantyk nie pomógł. (…)
>
> Bo wszystko się wiąże, o, tak! *(splata ręce jak haki)* Tak, rozumiesz? Nawet jak nam się zdaje, że dawno pogrzebane na dnie oceanu *(podchodzi do pnia i uderza siekierą).* Tylko w rzeźni można coś odciąć. Na amen. W życiu tak nie ma. Niestety. (Tamże, s. 95 i 146).

Słucha tego Julia, która później zrywa męczący i nie dający jej poczucia bezpieczeństwa związek z żonatym Carlem, reżyserem reklamówek. Decyduje się wracać do Polski. Bo Kanada nie zapewni nikomu tego, czego nie potrafi on osiągnąć we własnym kraju, nie wyleczy z kompleksów ani nie rozwiąże zaległych problemów.

Duch Atlantydy, podobnie jak dramat Wyspiańskiego, kończy się patem. W dniu uroczystego otwarcia centrum, dopracowanego w najdrobniejszych szczegółach, organizatorzy uświadamiają sobie z przerażeniem, że nikt nie przyjdzie, bo… w tym czasie hokeiści grają o mistrzostwo Kanady.

> Okazuje się, że tylko tradycję kiszonych ogórków i kiełbasy da się zachować. Trzeba będzie znów otwierać BUCZERNIĘ – stwierdza z rezygnacją Kuba. (Tamże, s. 152).

Sytuacja wraca więc do punktu wyjścia. Ale czy na pewno nic się nie zmieniło? „My przyjdziemy. Do siebie” – obiecywał Rem. A teraz Rydel, któremu do tej pory posługiwanie się mową ojców przysparzało wiele trudności, poprawia językoznawcę nieskazitelną polszczyzną:

> Sklep mięsny, chciał pan powiedzieć. Wędliniarnię. Po

> polsku „Delikatesy Baca”. (Tamże).

Dzieło Jarosława Abramowa-Newerlego to odtrutka na stereotypy. Choć umieszczenie akcji w konkretnym zakątku Toronto sugestywnie oddaje koloryt lokalny miejsca, nie obraz dzielnicy jest tu celem numer jeden. Sceneria kanadyjskiej metropolii pomaga uzyskać prawdę i realizm przedstawionego świata. Tak jak w innych swoich utworach, wzorem Wańkowicza pisarz stawia w centrum zainteresowania to, co polskie. Wartość *Ducha Atlantydy* tkwi przede wszystkim, jak zauważa Jerzy Święch, w kataraktycznej funkcji, która polega na „wyzwoleniu się z okowów polskości, jak – *sit comparare licet* – w *Transatlantyku* Gombrowicza”. (Jerzy Święch, op. cit, s. 36).

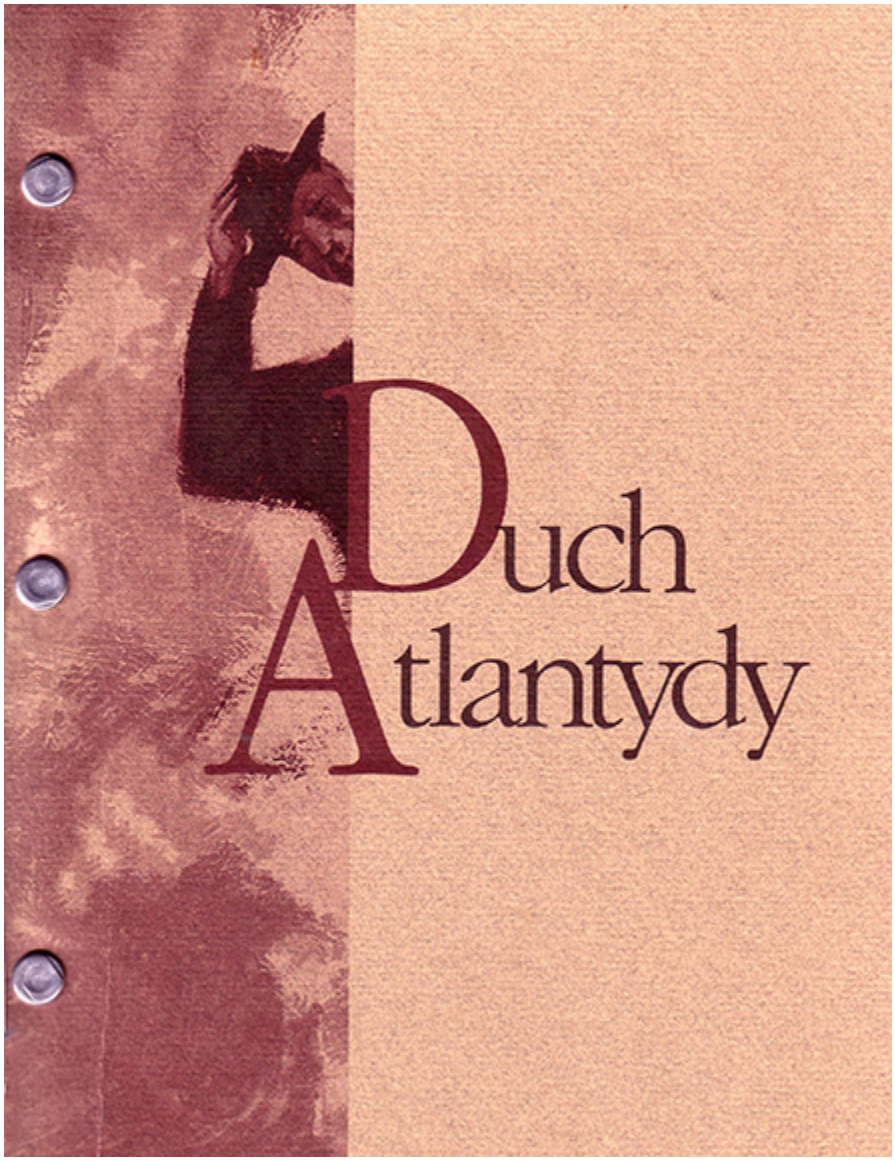

Jarosław Abramow-Newerly, Duch Atlantydy, sztuka w dwóch częściach, Teatr Polskiego Radia, premiera 28 października 2005 r., reż Waldemar Modestowicz, wystąpili m.in. Zbigniew Zamachowski i Wiesław Michnikowski.

Rozmowy wewnętrzne. O czterech „Dialogach” Floriana Śmieji.



Londyn na starej pocztówce

Bożena Szałasta-Rogowska *(Uniwersytet Śląski, Katowice)*

> Znienawidziłem słowo „powrót”. Człowiek nigdy nie wraca. Nie powinien wracać, jeśli chce żyć, jeśli chce kroczyć ku nowemu. To co było, jest kulą u nogi. Nie chciałem dłużej być niewolnikiem, niewolnikiem nawet własnej ojczyzny (D I)[2]

– odważnie stwierdza Bolek – główny bohater czterech *Dialogów* Floriana Śmieji.**[1]**

Przytoczona wypowiedź nie jest jednak tylko z ducha futurystyczną deklaracją zerwania z przeszłością, ale przede

wszystkim jest świadectwem decyzji podjętej przez młodego emigranta, dowodem wyboru życiowej i społecznej postawy, śladem buntu wobec zastanej sytuacji. I w tym miejscu jesteśmy już tylko o krok od dyskusji pokoleniowej, która toczyła się w środowisku polskiej emigracji w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Oczywiście o sporze „młodych" ze „starymi" na emigracji w Londynie napisano już wiele[3]. Wiemy też, że jednym z uczestników tej polemiki był Florian Śmieja. Jeżeli więc chcemy uzyskać pełniejszy obraz tej pokoleniowej „wymiany zdań" oraz dorobku literackiego autora *Bezroku*, koniecznością jest dopowiedzenie jeszcze paru słów do interesującego nas zagadnienia.

Florian Śmieja najchętniej wypowiada swe poglądy wierszem, ale poezja to tylko jedno, choć zapewne najważniejsze, skrzydło jego twórczości. Warto więc zatrzymać się na chwilę nad czterema wczesnymi, stanowiącymi jedną całość *Dialogami* Floriana Śmieji. Dwa z nich zostały opublikowane na łamach „Kontynentów – Nowego Merkuriusza" i „Kontynentów" w latach sześćdziesiątych[4], a dwa przeleżały prawie czterdzieści lat w szufladzie autora[5]. Data powstania *Dialogów* przypada z jednej strony na „gorący", dezintegracyjny okres dla redakcji „Kontynentów – Nowego Merkuriusza"[6] i grupy poetyckiej z tym pismem związanej[7], z drugiej zaś na „wystudzony okres"

rozczarowania po niespełnionych oczekiwaniach Października 56’ w Polsce. Na pewno więc data ta usprawiedliwia często emocjonalny osąd rzeczywistości i ekspresywne wypowiedzi bohaterów, ale jednocześnie zaskakuje obiektywizmem, kiedy okazuje się, że osobiście uwikłanych w sytuację, tkwiących wewnątrz „zwężonej społeczności”[8], bohaterów stać na samokrytykę.

Florian Śmieja podobnie jak pozostali członkowie grupy poetyckiej „Kontynenty” zdecydowanie odciął się od „postskamandryckiego kanonu poezji zaangażowanej w sprawy podzielonego przez wyroki Jałty narodu”[9], nigdy podobnie jak bohater wiersza *Na śmierć poety* nie chodził „z możnymi/ pod rączkę”[10], nie odpowiadały mu skostniałe poglądy „niezłomnych”, których tak krytycznie oceniał, zawsze pogardzał patriotyzmem na pokaz[11].

Bohaterami czterech *Dialogów* Śmieji są emigranci: Bolek – młody, egzaltowany poeta, wokół osoby, którego zogniskowana jest „akcja”, Teresa – kobieta, w której Bolek jest zakochany, Janusz – jego rówieśnik i rywal, stryj Stanisław – przywódca emigracyjnego środowiska, przeciwko któremu buntuje się Bolek, Irena – jego kochanka i Zygmunt – mąż Ireny. Wszyscy oni, co wynika z przywoływanych w czasie rozmów nazw własnych („gminy Tamiza i Kensington”), nie ma bowiem prawie w ogóle tekstu pobocznego, mieszkają w Londynie. I na tym w

zasadzie kończą się informacje dotyczące bohaterów. Nie wiemy niczego o ich wieku, wyglądzie, zawodach, zainteresowaniach. Tylko język[12] i rodzaj wypowiedzi charakteryzują tu bohaterów. Nie jest to jednak wada tekstu. Nie mamy bowiem do czynienia z utworem dramatyczno-scenicznym, ale z dialogami, które mają skupić naszą uwagę na wewnętrznych problemach polskiego środowiska w Londynie. A ta swoista niekonkretność postaci podkreśla wręcz uniwersalizm zaprezentowanych postaw.

Przedmiotem analizy w *Dialogach* jest szeroko pojęta postawa życiowa. Rozmówcy mają odmienne poglądy na temat wyboru drogi, którą chcą podążać i którą powinna kierować się polska emigracja. W tej kwestii wypowiedzi Bolka dominują nad deklaracjami pozostałych bohaterów, a jego cięte i ironiczne repliki często stanowią autonomiczną część znaczeniową. W zasadzie bohaterowie nie słuchają się wzajemnie, a raczej „wygłaszają" swoje racje, nie przyjmując argumentów drugiej strony. Dlatego nie może dojść między nimi do porozumienia i dlatego w ostatecznym rozrachunku wszyscy, a nie tylko Bolek, ponoszą klęskę…

Bolek – to młody poeta, arogancki samotnik i rozczarowany emigrant, który kiedyś „wierzył ślepo każdemu sloganowi", a teraz pragnie mówić własnym głosem. W *Dialogach* obserwujemy swoistą, bo pozorną, przemianę Bolka. Wiemy, że pragnie on

zmian, że nie odpowiada mu środowisko, któremu przewodzi Stanisław, że kiedyś zbuntował się i poruszył „całą zasiedziałą emigracyjną socjetę", obraził „najszacowniejsze persony" i postrącał „posagi z postumentów" (D III). Dziś, jak sam przyznaje, jest „zupełnie zagubiony", szuka nowej drogi, bo stara naznaczona minimalizmem i praktycznym realizmem mu zupełnie nie odpowiada. Głośno oświadcza, że „szuka idei"! Ostatecznie okazuje się jednak, że najważniejsze i najsilniejsze w tej „idei" są jej deklaracje…

Najdłuższy spośród czterech dialogów Śmieji *Dialog pierwszy* to w zasadzie rozmowa dwojga kochanków: Bolka i Teresy. Ale rozmowa ta jedynie na pierwszy rzut oka wydaje się być konwersacją pary zakochanych, którzy borykają się z problemami emocjonalnymi. Bolek zadurzony w Teresie, ma do niej pretensje o ciągłą obecność w ich życiu tajemniczego stryja, „szacownego obywatela jeszcze sprzed wojny". Dziewczyna broni się, próbując zbagatelizować zarzuty, „atakując" złośliwymi ripostami typu: „Powiedziałam, co wiedziałam" i wymieniając zasługi stryja, dzięki któremu poznała Bolka. Szybko jednak okazuje się, że frustracja Bolka wypływa z poważniejszego źródła. Bolek jest rozczarowany i, co chyba najważniejsze, zdezorientowany. Przyznaje, że kiedyś wierzył starej emigracji, ale okres ten wspomina dziś bez nostalgii. Mówi o ciężarze minionej sytuacji („To straszna rzecz czuć fałsz, a nie umieć go nazwać i wyzwolić spod świadomości" DI), o rozdarciu

towarzyszącemu wyzwalaniu się z więzów prostacko pojętej tradycji, o specyficznych „wyrzutach sumienia” („Byłem w głębokiej rozterce. Coraz wyraźniej widziałem, że nie ślepa wiara, ale powątpiewanie są motorem życia.” D I), o braku odwagi cywilnej („Co miałem robić? Powiedzieć otwarcie, co o tym wszystkim myślałem? Że dusiłem się w ckliwym religianctwie, że nie byłem ani taki dobry, aby kwalifikować się do ich grona, ani na tyle bezczelny, aby wodzić za nos duchowych opiekunów” D I). W rozmowie z Teresą wspomina nawet:

> Dzień, w którym napisałem ów list do redakcji, pamiętam jak dziś. W obozie było nie do wytrzymania. Dusiłem się wśród ciągłych wizyt komisji i przedstawicieli, którzy nas lustrowali i badali, segregowali i wychwytywali, co przydatniejsze ochłapy, zgodnie z instrukcjami swoich mocodawców. Chciałem drapnąć na koniec świata, pragnąłem się znaleźć gdzieś, gdzie nikt nie słyszał o ojczyźnie, o odbudowie ze zgliszczy, o obowiązku. (…) Wtedy umarła moja matka. Jej śmierć była dla mnie wielkim wydarzeniem. Byłem wolny. Skończyły się moje kłopoty emigracyjne. Wiedziałem, że jak tylko zniknie zastrzeżenie „chora matka”, świat stanie otworem dla mnie (DI).

Słowa Bolka szokują śmiałością zwerbalizowanego egoizmu,

niewdzięczności, nienawiści… I chyba wywołanie wstrząsu było założeniem autora! Postawa Bolka miała być, eufemistycznie rzecz ujmując, niekonwencjonalna, aby wywołać oburzenie czytelnika i w ten sposób zwrócić jego uwagę przede wszystkim na sytuację młodych emigrantów. Bolek stwierdza przecież:

> Śmierć matki przyszła w sam raz. Co tu dużo ukrywać. Zacząłem ją nienawidzić za to, że żyła, że była mi przeszkodą zagradzającą drogę do zwyczajnego, ludzkiego życia (DI).

Bohater w efektowny więc sposób wykrzykuje swoje prawo do samodzielności, buntuje się nie tylko przeciwko więzom rodzinnym, ale też pętom ojczyzny i patriotycznego obowiązku. Oświadcza Teresie: „Chce być sobą, słyszysz? Mam dość ciągłego prowadzenia za rączkę. Czy nie mam prawa iść, gdzie mnie nogi poniosą? Nawet na swoją zgubę?" (DI).

Bolek to indywidualista i buntownik, który sarkastycznie charakteryzuje emigracyjne społeczeństwo:

> Wyobrażam sobie nudę w towarzystwie obywateli szarmancko nadskakujących przy stole i cykających delikatne słóweczka z gestami pozłacanymi sygnetem. Dziękuję ci najmocniej. Do towarzystwa pogrzebowego za

> życia zapisywać się nie mam najmniejszej ochoty. (…) Zejdzie się kupa ważniaków, opycha się kiełbasą i sałatą, kropi wódkę prawiąc bezustannie o obowiązku, o wiernym trwaniu (DI).

Podobne opinie o duchowej kondycji emigracji pojawiają się też w poezji Floriana Śmieji. W *Poemacie dydaktycznym* ironia towarzyszy wypowiedzi „chóru starców”:

> Drogi są śliskie
>
> drogi dalekie
>
> najlepiej nie szukać
>
> dobrze przeczekać
>
> bo znaki na niebie
>
> bo tętent na błoniu.
>
> Zbudujemy na skraju kapliczkę

> zapalimy każdemu świeczkę
>
> aby było przytulnie
>
> aby było jak w domu
>
> aby w świateł migocie
>
> każdy chodził jak w złocie[13]

natomiast w *Morituri* sarkazmowi akompaniuje już żal i rozczarowanie:

> Tak wychodzą co tydzień
>
> wysypują się z nawy polonezem
>
> ciężkim posuwistym (lata robią swoje)
>
> co niedzielę ich widzę
>
> jak wynurzają się z murów

po alarmie może

po ćwiczeniach LOPP.

Smutkiem powlókł ich twarze

kaznodzieja

jak węglem rysownik

pokrywający drapieżnie biel.

przybiła ich rutyna

i to ciągłe wołanie: wilk, wilk

kiedy nic nie grozi

kiedy już wszystko stracone

gdy do gardła skacze

spokój nieba bez chmurki

gdy targa za serce

> każdy pąk na wiosnę
>
> i ptaka świergot poranny.[14]

Charakterystyka społeczeństwa londyńskiego wyłaniająca się z tych tekstów jest więc gorzka i ironiczna. Krytyczną opinię o „starej emigracji” podzielają też pozostali kontynentczycy[15], ale Śmieja w *Dialogach* poszedł jeszcze o krok dalej, bowiem Bolek nie pozostawia suchej nitki nawet na własnych rówieśnikach. Ocenia ich następująco:

> Boicie się refleksji, uciekacie od zadumy i dociekania. Szczęśliwcy: kolorowy sznur, blaszki i świecidełka na piersi i gablotki na ramieniu zupełnie wam wystarczają. No, cóż, może i macie rację, że zamiast ślęczeć nad książkami i roztrząsać w sumieniu metafizyczne dylematy, lepiej gzić się w rubasznych harcach i masowymi pieśniami zagłuszać niepokój serca(D II).

Bolek nie nazywa całej społeczności emigracyjnej oportunistami, nie przebiera jednak w słowach, nie boi się spojrzeć krytycznie na swoje pokolenie. Mówi z pobłażaniem:

> To byli po prostu biedni, zagubieni młodzi, za słabi, aby stanąć na własnych zasadach. Chowali się za parawanami wygodnie im podstawionymi przez różnych zawodowych katolików.

Z rozmowy Bolka i stryja Stanisława z *Dialogu czwartego* wyłania się obraz emigracji wewnętrznie skłóconej. Widzimy tu prezesów „gmin" dbających tylko o swoje prywatne interesy i ludzi, „którzy robią majątki na tęsknocie emigrantów". Bolek piętnuje emigrację, dzieląc ją na „zawodową", czyli „tych, którzy żyją ze swej polskości" i „amatorską". Do grupy pierwszej zalicza polityków, propagatorów, dziennikarzy, radiowców, łączników, doradców, szpicli oraz różnych płatnych powierników i prezesów, do drugiej natomiast „zwykłych ludzi dopłacających do swej polskości, co się trudzą nieefektowną pracą" (D IV). Zaś sam o sobie mówi, że jest „ozdrowieńcem ze skłonnościami do zapadania na dawną chorobę".

Bolek krytykuje też duchowieństwo, które uzurpuje sobie prawo do ingerowania w politykę:

> Sprawy społeczne to także ich domena. Lubią fotografować się z luminarzami zawodowymi działaczami, imponują im wciąż jeszcze możni tego świata, lubią się otaczać

> wielbicielami i pochlebcami. A niechby tylko kto zapomniał o ich oficjalnych tytułach.

Nie jest ateistą, chce jednak oddzielenia rzeczowej dyskusji i obiektywnego osądu sytuacji, a nie zamykania wszystkich

> dyskusji sakramentalnym „Opatrzność to jakoś załatwi" czy „Miłosierdzie Boskie wszystko to wyjaśnia" i tkwienia w obłudzie w imię podtrzymywania „mitu naszej złotej katolickiej młodzieży".

Bolek krytykuje wąskie „wychowywanie młodych na przyzwoitych Polaków", twierdzi, że to tresura i kształtowanie „kołchoźników bogoojczyznianych, a nie wartościowych jednostek", sam jest po stronie wychowania przez wskazywanie celu nie prowadzenie za rączkę, które odbiera „wizję nieskażoną". Teraz pyta w zasadzie samego siebie:

> A co mam teraz? Różne emigracyjne mętliki w głowie, służby, trwania, straże. Ki diabeł pomieszał nam mózgi. Tam umysły zniewolone, a tu ogłupiane z kretesem (DIV).

Oskarżeniom jakby nie było końca… Ale kiedy Janusz – zwolennik

Stryja, pyta go wprost, dlaczego nie działa, rozmowa przebiega następująco:

> – Więc na co czekasz?
>
> – Na siebie.
>
> – A przyjdziesz to wnet?
>
> – Kto wie, może prędzej niżbyście sobie tego życzyli. (…) Gdyby pewna wróżka zechciała przebudzić mnie z niedobrego snu. (D II)

Później okazuje się jednak, że Bolek przegrywa z Januszem starcie o względy Teresy i wtedy legną w gruzach wszystkie zadeklarowane ideały. Wychodzi na jaw, że Bolek to pozer i tchórz… A może tylko głęboko rozczarowany, odrzucony przez kobietę, we własnym mniemaniu niezasługujący na jej miłość, samotny młody człowiek, który sam o sobie mówi, że jest „reumatykiem emigracji" (D II)?

Niewątpliwie Bolek to antyspołecznik, pozujący na intelektualistę, krytykujący wszystko i wszystkich, domagający się zgodności czynów i słów, potępiający obłudę katolików,

którzy spowiadają się dwukrotnie raz u „swojego" księdza raz u angielskiego, piętnujący „niezdrową atmosferę, nieszczerość i zakłamanie", którym towarzyszą „podniosłe referaty i uduchowione wypowiedzi". Tak więc Bolek ochoczo deklaruje zrywanie różnych pęt („Trzeba zedrzeć maskę ogłady i tak zwanego dobrego wychowania"), kiedy jednak powinien był wprowadzić w życie swoje idee, stchórzył!

W *Dialogu pierwszym* jakby sam przepowiadał już swoją klęskę „Wiem, że wy wszyscy myślicie, że jestem niezdolny do jakiegokolwiek czynu" (DI). Werbalnie walczy z obłudą, a po chwili sam okazuje się, jak stwierdza Irena, „tchórzem podszyty", wmanewrowany w macki mieszczańskiej kultury, którą tak bardzo krytykował. Boi się, że jego romans z mężatką wyjdzie na jaw i że o jego niewierności dowie się Teresa. Okazuje się tak samo „śliski", jak Ci których wcześniej krytykował. Nie chcąc skandalu, błaga: „Ireno, na miłość Boską, idź już stąd. Stryj może wrócić lada moment!" (D III). Prawdziwa natura Bolka ujawnia się, kiedy Irena oświadcza mu, że jest z nim w ciąży. Jest to wymysł Ireny, która chce podstępnie „sprawdzić" miłość męża i kochanka. I wtedy okazuje się, że obaj nie zdają egzaminu. Irena chcąc związać się z Bolkiem, aby byli „biczem na zadufanych w sobie kołtunów", jeszcze nie dostrzega, że on jest jednym z nich. Bolek zasłania się miłością do Teresy, wmawia sobie i Irenie, że tylko Teresa może poprowadzić go „ku jakiejś bardziej ludzkiej przyszłości" (D III), nie chce już walczyć, bo tak jest wygodniej.

Stwierdza „W imię czego mam walczyć? Jeśli nie ma, co postawić w miejsce świątka na rozdrożu, to usuwanie go jest bezprawiem i podłym chuligaństwem” (D III). Zdesperowana Irena wykrzykuje w uniesieniu „Żegnaj, tchórzu!” Czy to właściwa ocena?

Ostatnia „scena” *Dialogów* to triumf drobnomieszczaństwa i stuprocentowej dulszczyzny… Stryj, komentując zaistniałą sytuację, stwierdza „(…) nie wolno brudów prać publicznie. Każdy dom ma swój śmietnik, ale gości doń nie prowadzimy” (D IV), Bolek na propozycję Zygmunta, aby dla dobra dziecka ożenił się z Ireną, odpowiada „Ja? No, wiesz… ja przecież nie mam nawet stałej pracy… Jak ja utrzymam żonę i dziecko. Jestem zupełnie nieprzygotowany…” (DIV), po czym wychodzi, uciekając od obowiązków i odpowiedzialności. Po jego odejściu zapanuje znowu spokój, będzie „Życie jak dawniej” – jak kwituje zajście Zygmunt.

Czy mamy więc do czynienia ze współczesną *Krótką rozprawą między trzema osobami, Panem, Wójtem a Plebanem* Mikołaja Reja[16], *Nierządem Polska stoi* Wacława Potockiego, czy *Monachomachią* Ignacego Krasickiego? Przykłady literatury nawołującej do poprawy obyczajów, karcącej i ostrzegającej przed prywatą można w tym miejscu mnożyć. Niewątpliwie wszystkie te porównania w jakimś przynajmniej minimalnym sensie są prawdziwe, bo Śmieja krytykuje, ironizuje, pokazuje konsekwencje trwania w marazmie, ale na pewno zabiera też

głos w dyskusji pokoleniowej. Nie pisze jednak zwykłej polemiki, bowiem nie tylko nie gloryfikuje młodych, ale oskarża i jednych i drugich. Sądzę, że ta odwaga powiedzenia wprost, że młodzi też nie byli bez winy, że początkowo imponowało im środowisko, później, ponieważ ośmielili się mieć inne poglądy, zostali wyrzuceni poza jego nawias, że nie zawsze potrafili sprostać wyznaczonym przez siebie celom, była w momencie publikacji *Dialogów* nowatorska. Śmieja stara się wskazać przyczyny konfliktu pokoleniowego, krytykuje obie strony, jest dosadny i nawet przesadny. Czasem jednak dopiero hiperbola może zostać zauważona…

Dialogi Floriana Śmieji bez wątpienia wpisują się w polemikę generacyjną, ale są też świadectwem rozterek, lęków, porażek i odważnych deklaracji, wysiłków wybrania właściwej drogi, odnalezienia siebie w skomplikowanej, powojennej rzeczywistości.

---

[1] Na prośbę autora konsekwentnie stosuję taką pisownię Jego nazwiska.

[2] Będę używać w tym artykule następujących skrótów: *Dialog*

pierwszy DI, *Dialog drugi* DII, *Dialog trzeci* DIII i *Dialog czwarty* DIV.

[3] Por. Z. Andres: *„Obraz własnego losu". O „Kontynentach" i londyńskiej grupie poetów*. [W:] *Poetycki krąg „Kontynentów". Artykuły i szkice*. Red. Z. Andres, J. Wolski. Rzeszów 1997, s. 9-35; M. Kisiel: *Bunt i satyra. Poeci z Kontynentów wobec fantazmatów polskości – zarys*. [W:] *Mity, stereotypy, konwencje*. Prace ofiarowane Włodzimierzowi Wójcikowi. Red. B. Gutkowska, M. Kisiel, E. Tutaj. Katowice 1995, s. 72-90; P. Kądziela: *O publicystyce londyńskich „Kontynentów"*. [W:] *Myśl polityczna na wygnaniu. Publicyści i politycy polskiej emigracji powojennej*. Red. A. Firszke. Warszawa 1995, s. 193-203.

[4] Dwa pierwsze *Dialogi* zostały opublikowane w odwrotnej kolejności. *Dialog drugi* ukazał się w „Kontynentach – Nowym Merkuriuszu" w roku 1960 (nr 17, s. 9-11), a *Dialog pierwszy* w „Kontynentach" w 1962 (nr 39, s. 1-3).

[5] Składam w tym miejscu serdeczne podziękowania Autorowi za udostępnienie mi dwóch nigdy niepublikowanych *Dialogów*.

[6] Zob. m.in. R. Moczkodan: *Od „Życia Akademickiego" do „Kontynentów" – historia pism*. [W:] Tegoż: *„Życie Akademickie" – „Kontynenty" 1949 – 1966. Bibliografia zawartości*. Toruń 2001, s. 9-31.

[7] Zob. M. Kisiel: *Bunt i satyra…*, s. 77.

[8] Zob. J. Wittlin: *Blaski i nędze wygnania*. [W:] Tegoż: *Pisma pośmiertne i inne eseje*. Wybór, opracowanie i przedmowa J. Zieliński. Warszawa 1991, s. 326.

[9] M. Pytasz: *„Zatajam ściśle znak okaleczenia". O wierszach Floriana Śmiei*. [W:] F. Śmieja: *Wiersze wybrane*. Wybór, wstęp i oprac. M. Pytasz. Katowice 1998, s. 82.

[10] F. Śmieja: *Na śmierć poety*. [W:] Tegoż: *Wiersze wybrane…*, s. 18.

[11] Zob. np. takie wiersze Floriana Śmieji jak: *Niezłomny*, *Patrioci*, *Polski Sierpień*.

[12] Język *Dialogów* charakteryzuje przemieszanie różnych odmian. Spotkamy tu kolokwializmy („drapnąć na koniec świata", „wybił sobie z głowy" „stara bieda"), wulgaryzmy („Żeby go raz jasne licho", „Psiakrew! Kogo akurat teraz licho niesie"), egzaltowane wyrażenia, które możemy zaliczyć do stylu wysokiego („niepokój serca", „Jestem głęboko przeświadczony, że dochodzą nawet ci, którzy kresu nie osiągają"), pojawiają się też bardzo często obrazowe pointy typu: „Wy chcecie młodzieniaszka sadzać przed deserem, bo obiad już za niego ktoś zjadł", „Nie ten, co kusi jest winny, ale ten, co słucha".

[13] F. Śmieja: *Poemat dydaktyczny*. [W:] *Ryby na piasku. Antologia wierszy poetów „londyńskich”*. Oprac. i red. A. Czerniawski, wstęp J. Przyboś. Londyn 1965, s. 243.

[14] F. Śmieja: *Morituri*. [W:] Tegoż: *Wiersze wybrane…*, s. 20.

[15] Szczegółowo omówił ten problem Marian Kisiel w przywoływanym już szkicu *Bunt i satyra. Poeci z Kontynentów wobec fantazmatów polskości – zarys*.

[16] W *Dialogach* pojawiają się swego rodzaju scenki rodzajowe, jak na przykład historia „panny z kokiem”, spodziewającej się nieślubnego dziecka i z tego powodu wydalonej „poza nawias” społeczeństwa przez ludzi, którzy się „przedtem przed nią krygowali” czy Irlandki Betty, która wstąpiła do klasztoru.

Odłożona rozmowa

o Polesiu i Kresach

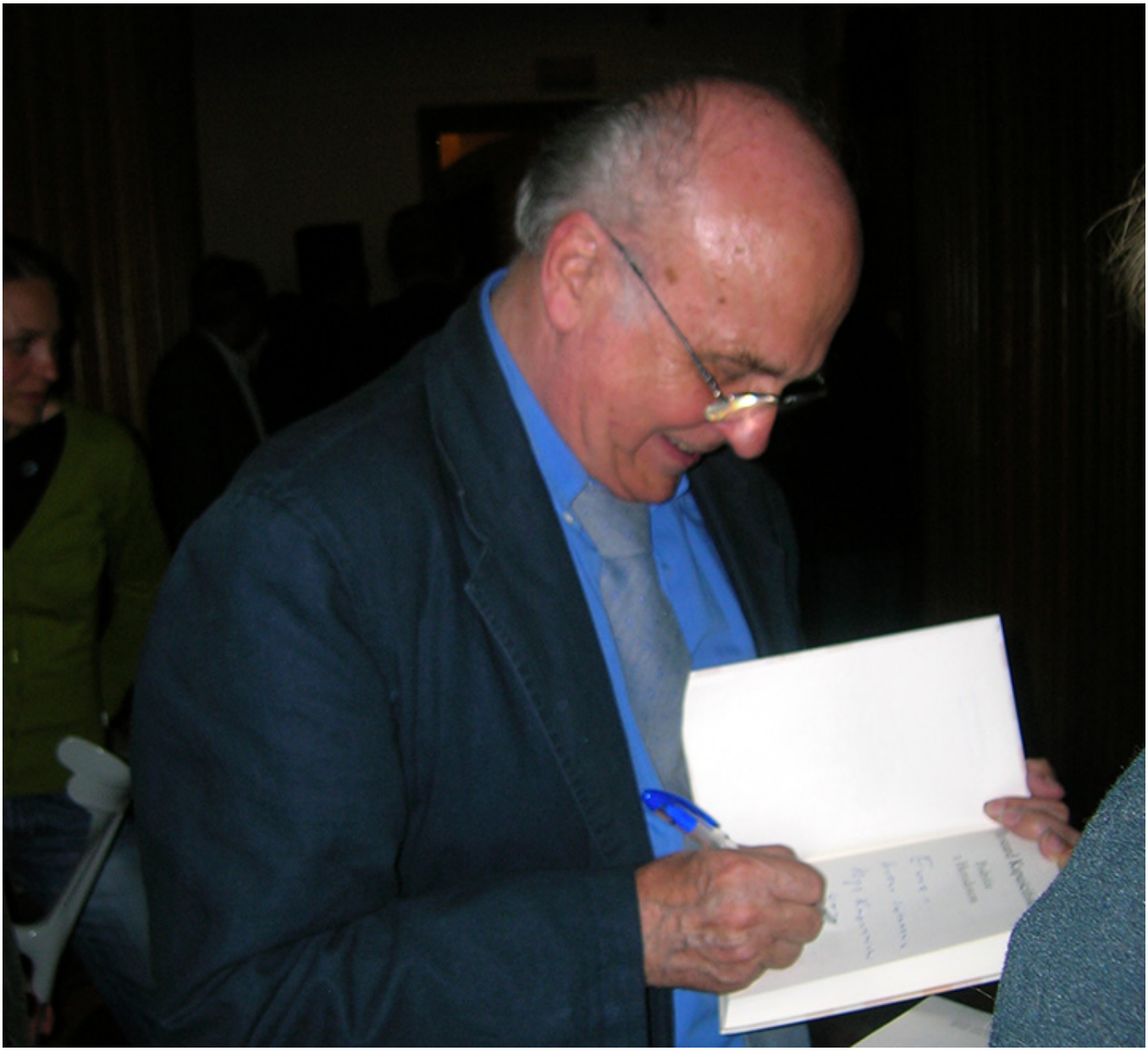

Ryszard Kapuściński w Domu Literatury w Warszawie, 2 października 2006 r., fot. R. Mieczkowski

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Widziałem Go ostatni raz 2 października 2006 r. w Domu Literatury, na Krakowskim Przedmieściu, w Warszawie. Podczas wieczoru poetyckiego. Siedzieli we trójkę na scenie, w wypełnionej, rzadko ostatnio, po brzegi sali. W środku – Julia Hartwig, bohaterka spotkania, która miała cykl spotkań z okazji swego 85-lecia. Obok – jej przyjaciele – Ewa Lipska, pełna optymizmu i witalności, która zagaiła ten wieczór, zaś po lewej stronie pani Hartwig – właśnie Kapuściński. Mówił cichym, bardzo spokojnym głosem, o wątkach reporterskich w jej twórczości, uśmiechając się pogodnie.

Po spotkaniu miał pełne ręce roboty – co rusz podchodzono do Niego po autografy. Każdy chciał z Nim zamienić choć parę słów, zrobić razem zdjęcie. Był na topie – jego kandydaturę zgłoszono do Nagrody Nobla, dyskutowano półgłosem o szansach dla kolejnego Polaka. Odczekałem aż będzie wolniejszy i zapytałem pisarza:

– Kiedy Pan znajdzie trochę czasu na tę naszą rozmowę, która ciągle się odkłada?

Odpowiedział, że dłuższa to może być rozmowa. Że więcej czasu raczej będzie chyba miał już po powrocie z Ameryki, dokąd ma wyruszyć z wykładami na Uniwersytecie Columbia… Zapewnił mnie, że na pewno da mi znać, że musi się zastanowić co do terminu, że również chce ze mną porozmawiać.

A miała to być szczególna rozmowa. Od dawna chciałem bowiem porozmawiać z Mistrzem Reportażu. Nie o szerokim świecie, dalekich krajach i zaskakujących puentach w postrzeganiu *innego* obok, nawet nie o tajemnicy bycia poetą – co o rodowodach Jego rodziny, o Polesiu, którego czar do dzisiaj żyje we wspomnieniach ludzi stamtąd się wywodzących, o Pińsku. Chciałem pokazać mu zdjęcia z Jego rodzinnego miasta i Polesia, wykonane przez Zofię Chomętowską. Pierwsze pochodzą z roku 1916, inne z lat dwudziestych. Dotarły one do mnie okrężną drogą, zwycięsko pokonując czas i wszystkie niedogodności losu aż z Argentyny. Przysłał mi je w darze, jako redaktorowi, piszącemu o ludziach z dawnych Kresów, Antoni Koelichen, z życzeniem, abym w odległych czasowo i bliższych terytorialnie praźródłach ojcowizny przybliżył sobie tamte strony, przysłał mi te unikalne zdjęcia z przekonaniem, że zostawia je „w pewnych rękach".

Chciałem zapytać Kapuścińskiego o Jego przedwojenne dzieciństwo, o pierwsze kroki człowieka z Kresów w Polsce. O tym, czym ta kraina jest dla Niego dzisiaj. Tak się stało, że o tym znacznie mniej wiemy – wątki, pozornie monotonne i mniej ciekawe dla większości Jego rozmówców, niczym błota, mokradła i rozlewiska Polesia, zostały przyćmione dalekimi podróżami reportera i Jego rozważaniami nad pojęciem etyki i tolerancji w dzisiejszym świecie.

Miała to więc być rozmowa rodaków ze Wschodu, których łączy osobliwa nić porozumienia, jak stwierdził Pan Ryszard. Dla mnie – uczta słuchania, dowiedzenia się wielu istotnych rzeczy, poznanie Kapuścińskiego z tej, mało eksponowanej strony.

Sławnego reportera poznałem w dość dziwnych okolicznościach. *Pierestrojka* weszła u nas w swą burzliwą fazę przemian. Na Litwie zaczynało na dobre wrzeć. W 1989 roku zawitał do Wilna Ryszard Kapuściński. Nie wiem, w jaki sposób odnalazł mój telefon i kto Mu go dał, w każdym razie zadzwonił do mieszkania na Karolinkach, gdzie wówczas mieszkaliśmy, i poprosił o spotkanie. Po chwili przybył, chyba taksówką, razem z Piotrem Ikonowiczem. Już na wstępie dostałem ofertę współpracy z PAP, co więcej, Kapuściński wręczył mi coś w rodzaju akredytacji czy legitymacji, po polsku i po angielsku, dokument z odpowiednią pieczęcią, co pozostało gdzieś w papierach, ale już w innym mieszkaniu.

Ale moje losy tak ułożyły się, że i z tej oferty, jak i z wcześniejszej oferty robienia doktoratu W Instytucie Kulturoznawstwa we Wrocławiu, u prof. Stanisława Pietraszki, wyszły nici – z początku byłem zaangażowany mocno w działalność pierwszej po wojnie społecznej organizacji polskiej, której byłem współzałożycielem, wiele czasu wymagała praca w telewizji, gdzie prowadziłem magazyn cotygodniowy, owładnęła też mną redaktorska pasja przy wydawaniu „Znad Wilii”, pełna na

tamtym etapie niepewności i trudnych zakrętów. Tym niemniej wysłałem jakieś informacje pod wskazany adres.

Znajomość odnowiła się na początku roku 2005, po tym, jak spotkaliśmy się w Warszawie, podczas wręczenia nagród przez redakcję „Rzeczpospolitej".

– Śledziłem w ciągu lat pana działalność – powiedział wtedy podczas przyjęcia. – Jak się panu powodzi?

Zamiast opowiadać, dałem Mu numer kwartalnika „Znad Wilii", jaki miałem ze sobą.

Po pewnym czasie otrzymałem list, datowany 13 marca 2005 roku. Znany reporter i poeta pisał:

> Drogi Panie Romualdzie,
>
> Było mi przyjemnie spotkać Pana na uroczystości wręczenia Nagrody Dariusza Fikusa i chociaż przez chwilę z Panem porozmawiać. Dziękuję za ofiarowany mi 4 numer kwartalnika „Znad Wilii". Jestem pełen podziwu, uznania i szacunku dla tego, co Pan i Pańscy współpracownicy robicie na Litwie, zachowując tak wysoki poziom pisarski i informacyjny.

> Życzę Panu wszystkiego najlepszego i załączam szczere, przyjacielskie pozdrowienia.

Odpisałem na ten list. I właśnie wtedy zaczęła kiełkować chęć dłuższej rozmowy, chęć słuchania tego niezwykłego człowieka. Potem spotykaliśmy się przy okazji wieczorów literackich, m.in. w warszawskim Klubie Księgarza, w Muzeum Adama Mickiewicza.

Ryszard Kapuściński odezwał się, jak mówił przy okazji ostatniego spotkania. W ostatnim e-mailu, datowanym 28 października 2005 roku, ubolewał, że na razie nie możemy się spotkać, bo intensywnie pracuje nad kolejną książką – *Lapidarium VI,* zaś spotkania i rozmowy Go bardzo rozpraszają. Prosił o wyrozumiałość, wyrażając nadzieję, że takie spotkanie na pewno się odbędzie…

Spotkania

w powojennym Londynie

Rok 2020 – rokiem Leopolda Tyrmanda



Leopold Tyrmand, fot. Muzeum Jazzu

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Zaraz po wojnie nie łatwo było odwiedzać Anglię. Do pierwszych gości w Londynie należał Leopold Tyrmand. Pamiętam jak go przyjmowaliśmy, jako autora głośnego już "Złego". a on popisywał się kolorowymi skarpetkami i buńczucznym oświadczeniem, że ks. kardynał Wyszyński i on byli prawdziwymi przywódcami młodzieży polskiej. Przyjechał też Jerzy Zawieyski, którego pamiętam za strofowanie nas, że krytykujemy społeczeństwo polskie, które przecież żyło w innych warunkach. Zdumiało mnie jego prawie konspiracyjne pytania, czy w Londynie może on po prostu wejść do sklepu i kupić ubranie bez talonu i jakiegoś zezwolenia.

W Londynie często spotykaliśmy się w restauracji i kawiarni Dakowskiego blisko kolejki podziemnej South Kensington, bo była blisko polskich instytucji takich jak Ognisko Polskie, Instytut gen. W. Sikorskiego czy Brampton Oratory. Wspominam picie kawy po wykładach na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie z Józefem Bujnowskim, Wandą Chruściel, Krystyną Cywińską, Marią Nowakowską, Wojciechem Gniatczyńskim, Ferdynandem Goetlem. Zygmuntem Ławrynowiczem czy Napoleonem Sądkiem, żeby wymienić kilka nazwisk. Goetel relacjonował rozmowę na granicy, kiedy wyjechał z Polski. Nie pamiętam, czy chodziło o wizę holenderską czy paszport. Dość, że celnik na granicy oddał mu paszport ze słowami: "No, to leć pan, latający Holendrze".

Ze Stefanem Kisielewskim mówiłem o muzyce. Byłem ciekaw,

kogo widział na polskim firmamencie jako najjaśniejszą gwiazdę wśród młodych kompozytorów. Wymienił Henryka Mikołaja Góreckiego. Wtedy było to dla mnie nowe nazwisko, ale niedługo później jego trzecia symfonia pieśni żałosnych podbiła świat. Kiedy na początku któregoś grudnia znajdowałem się w kalifornijskim Palm Springs, lokalne amerykańskie radio nadało Góreckiemu życzenia urodzinowe i emitowało jego sławną symfonię, w której Amerykanka Dawn Upshaw piękną gwarą śląską czarowała słuchaczy.

Miło mi było, że współczesny Polak cieszył się takim mirem i natychmiast pchnąłem do niego list z dobrą wiadomością.

Ostatnia podróż wieszcza

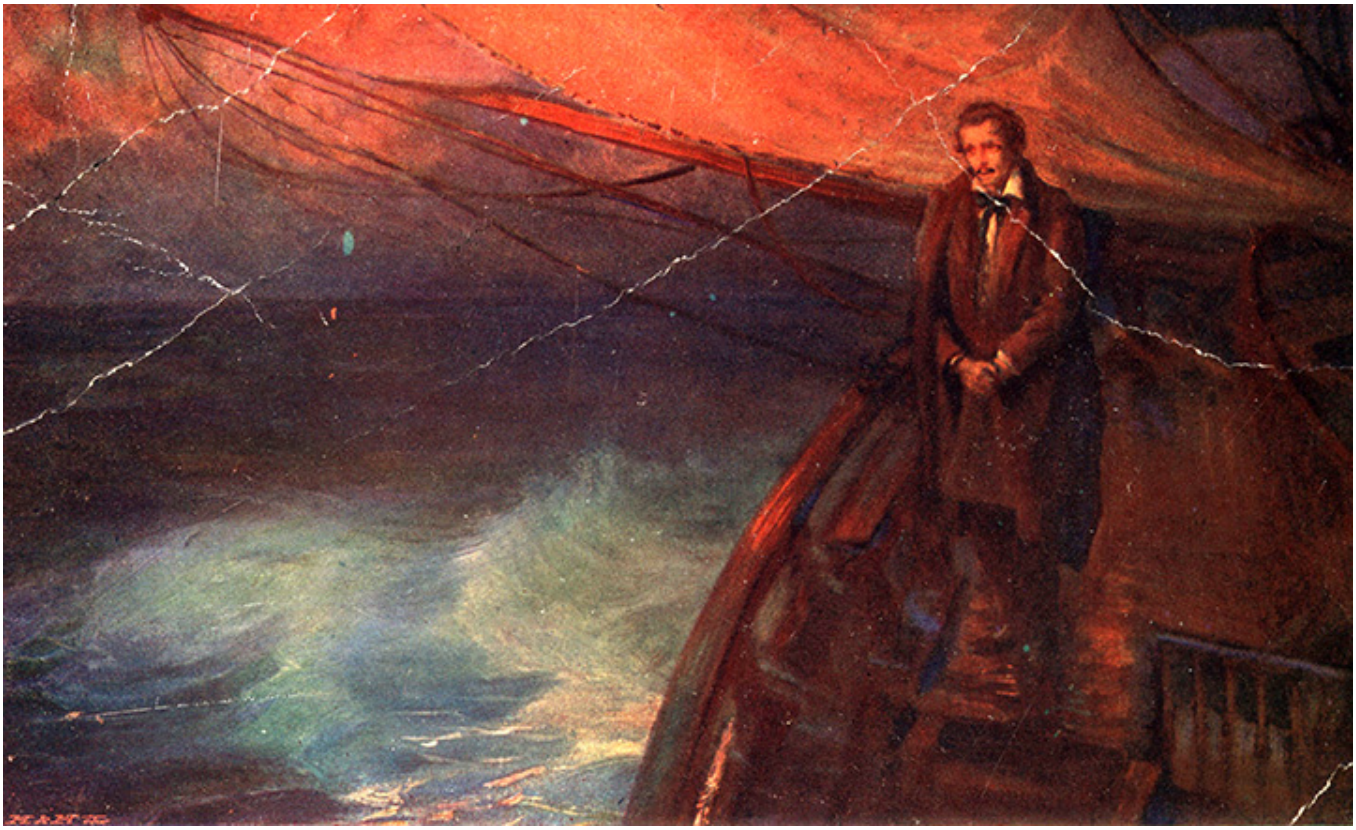

Pocztówka z wizerunkiem Juliusza Słowackiego, ilustracja do wiersza „Smutno mi Boże”, fot. Biblioteka Narodowa

Włodzimierz Wójcik *(Sosnowiec)*

Pamiętam doskonale odczyt Kazimierza Wyki – mojego mistrza – i jego wielką radość, kiedy stwierdził, że Norwid udając się z Krakowa na Zachód, przejeżdżał przez jego rodzinne Krzeszowice. Ja też szukałem czegoś szczególnego i znalazłem Słowackiego… Wiadomo, że wielki romantyczny poeta był na Śląsku, ale tym Dolnym; we Wrocławiu spotkał się z ukochaną matką – Salomeą. Ale w Sosnowcu, czy w Katowicach? A jednak… Wiadomo, że Słowacki – jeden z polskich wieszczów narodowych – na świat przyszedł w Krzemieńcu 4 września (23 sierpnia wedle starej daty) 1809 roku, jego serce zastygło w stolicy Francji 3 kwietnia w 1849. Poetę pochowano na paryskim

cmentarzu Montmartre. Wiadomo też powszechnie, że obdarował nas cudownymi wierszami lirycznymi, towarzyszącymi nam przez życie, poetyckimi powieściami (Jan Bielecki, Ojciec zadżumionych), najwyższej klasy dramatem romantycznym (Kordian, Horsztyński, Balladyna, Lilla Weneda, Mazepa, Fantazy, Sen srebrny Salomei), poematem dygresyjnym (Beniowski) czy historiozoficznym (Genezis z Ducha, Król-Duch), wreszcie pełnymi ciepła listami do matki i przyjaciół, które się czyta z zapartym tchem i szczerym wzruszeniem. Podobnie jak Chopin, zmarł przedwcześnie pośród garstki przyjaciół. W dniu zgonu otrzymał list od ukochanej matki – Salomei. Nie był jednak w stanie wziąć go do ręki, tak był osłabiony. List przeczytał mu jego przyjaciel, Zygmunt Szczęsny Feliński. Po lekturze umierający powiedział: „Jaki Bóg dobry, że mi przed zgonem daje tu jeszcze wielką pociechę. Pożegnanie i błogosławieństwo matki…”. Na jego skromnym pogrzebie było zaledwie 30 osób. Smutna to prawda. 78 lat później niepodległa już Polska upomniała się o swojego syna postanowieniem sprowadzenia jego prochów do kraju.

Rankiem 14 czerwca 1927 na cmentarzu Montmartre dokonano ekshumacji zwłok Słowackiego z udziałem wybitnego polskiego poety, skamandryty, Jana Lechonia. Znalezione kostne szczątki włożono do małej metalowej trumienki, tę zaś do większej – hebanowej. Po odprawieniu nabożeństwa w polskim kościele Assomption, orszak przeszedł ulicami Paryża do ambasady

polskiej, gdzie trumna była wystawiona na widok publiczny. Wieczorem przewieziono ją do Cherbourga. Z francuskiego portu polski statkiem „Wilia” do Gdyni, stąd na torpedowcu „Mazur” do Gdańska. Ostatnią drogę prochy polskiego poety odbyły wiślanym statkiem „Mickiewicz”, który zatrzymywał się w Grudziądzu, Toruniu, Włocławku, Płocku, Wyszogrodzie i Modlinie. 26 czerwca w południe statek przybył do Warszawy. Po odbyciu uroczystości pogrzebowych w Katedrze Świętego Jana, z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego, przez całą noc mieszkańcy stolicy oddawali hołd twórcy Króla-Ducha. Nazajutrz z Dworca Głównego trumnę przewieziono do Krakowa. Pociąg zatrzymywał się w Skierniewicach, Koluszkach, Piotrkowie, Radomsku, Częstochowie, Zawierciu, także u nas w Sosnowcu i w Katowicach. Tysiące naszych rodaków oddawały hołd poecie-wieszczowi. Od godzin wieczornych 27 czerwca w krakowskim Barbakanie mieszkańcy podwawelskiego grodu pochylali głowy przed trumną poety. Rankiem następnego dnia kondukt przemaszerował koło kościoła Świętej Anny, aby oddać hołd matce Słowackiego, która tutaj przed laty ufundowała tablicę pamiątkową dla syna. Na Wawelu prochy Słowackiego powitał Józef Piłsudski, który swoje piękne wystąpienie zakończył znamiennymi słowami skierowanymi do grupy oficerów:

> W imieniu Rządu Rzeczypospolitej polecam dziś Panom odnieść trumnę Juliusza Słowackiego do krypty królewskiej,

> bo królom był równy.

Kostne szczątki Słowackiego pochowane zostały w wawelskiej krypcie obok Mickiewicza. Jego serce wessała ziemia francuska. A jednak poeta przesłał własne serce Matce-Polsce i Matce-Salomej w poetyckim słowie. Mamy na myśli jeden z głośniejszych jego wierszy „Testament mój”. Warto przytoczyć dwie zwrotki z tego tekstu:

> Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,
>
> Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny,
>
> Dziś was rzucam i dalej idę w cień – z duchami –
>
> A jak gdyby tu szczęście było – idę smętny.
>
> […]
>
> Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
>
> I biedne serce moje spalą w aloesie,

> I tej, która mi dała to serce, oddadzą –
>
> Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie.

Cóż do tych wzruszających słów dodać? Wydaje mi się, że tekst jest dość jasny, zrozumiały dla każdego czującego Polaka… Także i dzisiaj, kiedy żyjemy w nie tak bardzo romantycznych czasach… Wartości wyższego rzędu – imponderabilia – nie umierają, mimo że w niektórych szkołach program nauczania literatury romantycznej jest wyraźnie redukowany…

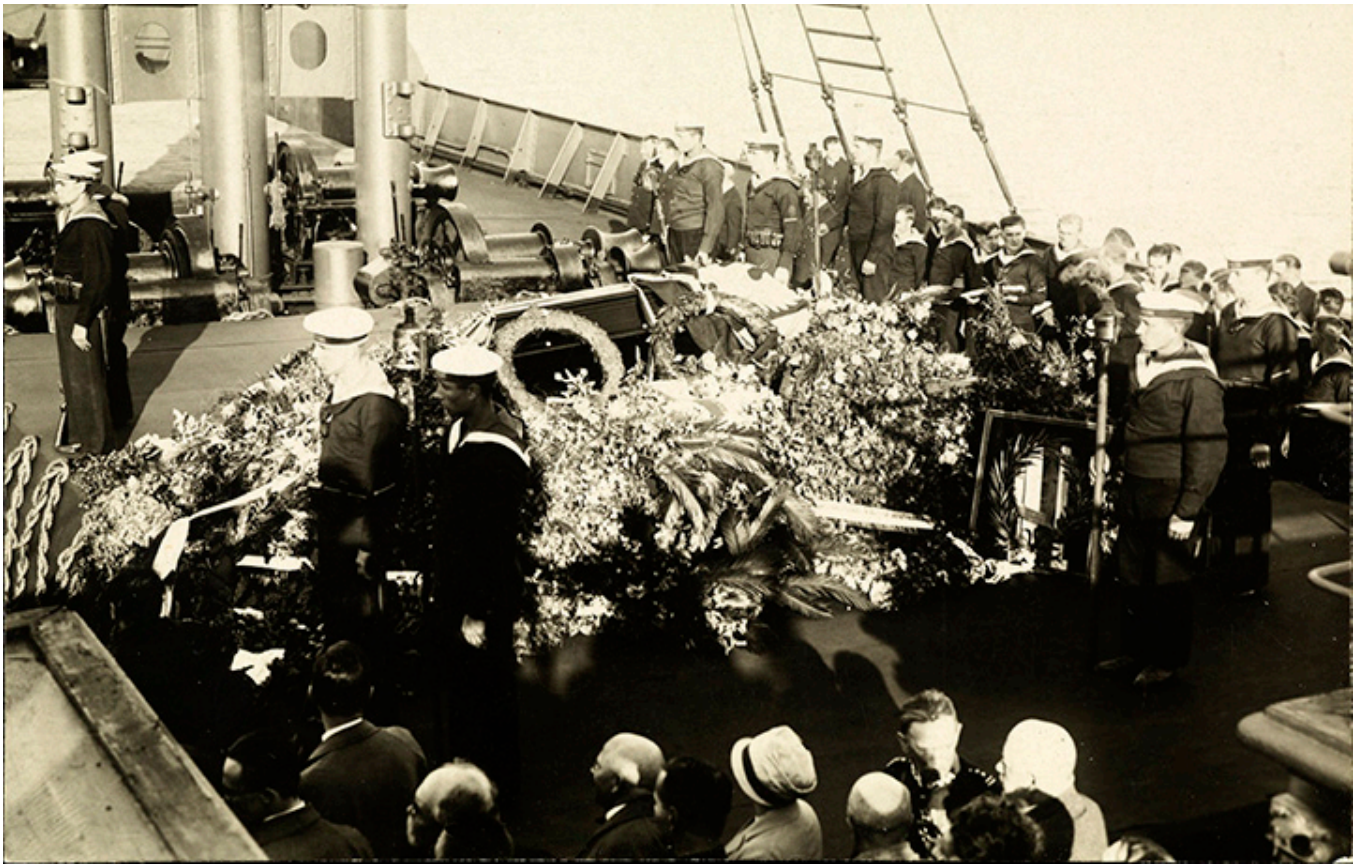

Sprowadzenie szczątków Juliusza Słowackiego do Polski, uroczyste przywitanie trumny w Gdyni, 1927 r., fot. wikipedia

O tych uroczystościach myślę z prawdziwym wzruszeniem. Wracam myślami do mojego ojca, który o nich opowiadał mi w okrutny czas okupacji. zabierając mnie wielokrotnie z Łagiszy, gdzie mieszkaliśmy, do Sosnowca. Oto bowiem w roku 1927 służył w wojsku polskim w Krakowie i brał udział w uroczystym pochodzie na wzgórze wawelskie. Jego wspomnienia i swojskie gawędy, żywe i barwne, pełniły funkcję swego rodzaju podręcznika historii w czasie, gdy polska książka była tępiona przez Niemców wszelkimi metodami. Tym domowym sposobem odbywało się patriotyczne wychowanie mojego pokolenia, tak kształtowała się legenda romantyczna, dzięki której łatwiej było przetrwać narodowe niedole i zachować poczucie własnej

tożsamości. Nic dziwnego, że po latach, po studiach polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, wróciłem do postaci Marszałka, prawdziwego Hetmana, dzięki któremu ukochany syn Salomei – powróciwszy pośmiertnie z emigracji – znalazł się pośród królów. Pisząc książkę Legenda Piłsudskiego w polskiej literaturze międzywojennej i szereg innych prac na ten temat, miałem to przeświadczenie, że tyle jesteśmy warci, ile kochamy naszych zmarłych.